

Łukasz Warzecha: Czwarta władza jest dziś bardzo słaba, ale nikt nie przejmie jej roli

Traktowanie mediów wyłącznie jako przybudówki do partyjnych gmachów – nawet jeśli faktycznie nią nie są – oznacza w praktyce koniec ich recenzenckiej roli - przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Czwarta władza tekst Łukasza Warzechy.

Jednym z założeń demokracji w wydaniu oświeceniowym było przekonanie, że aby suweren – czyli obywatele uprawnieni do głosowania – podejmowali mądre i słuszne decyzje, wystarczy dostarczyć im informacji. Innymi słowy – gdyby ludzie mieli rzetelne i pełne informacje, podejmowałiby zawsze trafne decyzje (w domyśle – takie, jakich życzyliby sobie członkowie oświeceniowej elity). Nieprzypadkowo to właśnie u progu oświecenia rozwinęły się ruchy encyklopedyczne. Francuscy encyklopedyści uczynili misję z dostarczania wiedzy, wierząc, że upodmiotowi to obywateli. Wątpliwe, czy ich działalność na rzecz krzewienia wiedzy faktycznie stała się podglebieniem dla krwawej rewolucji, ale takie przekonanie panowało i panuje nadal.

Po oświeceniu odziedziczyliśmy przekonanie, że „czwarta władza” – media – ma nie tylko zadanie kontrolne wobec gałęzi władzy wymienionych przez Monteskiusza, ale też być może znacznie donioślejsze: ma dostarczać obywatelom informacji, na podstawie których ci będą podejmowali mądre i słuszne decyzje wówczas, gdy

demokracja im na to pozwala. Z tego też wynika szczególne miejsce mediów we współczesnych demokracjach – przynajmniej w teorii. Dziennikarzy dotyczą specjalne przepisy kodeksów, mogą odwołać się do dziennikarskiej tajemnicy; mają prawo domagać się od urzędników i polityków odpowiedzi na swoje pytania; ujawniając skrywane, czasem prywatne historie mogą się powoływać na ważny interes społeczny, a jeśli zostają ukarani, zwykle wywołuje to sprzeciwy, protesty i nie przechodzi bez echa.

W zamian mają patrzeć władzy na ręce, reprezentować obywateli wobec niej, zwłaszcza w okresie pomiędzy wyborami lub tam, gdzie w ogóle brak demokratycznej legitymacji (jak choćby w organach UE takich jak Komisja Europejska). Mają też dostarczać wiedzy, pozwalającej dokonać ostatecznie dobrego wyboru lub, dla przykładu, podjąć protest przeciw działaniom danej władzy.

Tak to przynajmniej wygląda w świecie idealnym. Dziś jesteśmy od niego dalej niż kiedykolwiek. Nim jednak wyjaśnimy, dlaczego, najpierw określmy, jakie warunki musiałyby być spełnione, żeby media – jako zbiorowość rzecz jasna, a nie każde z osobna – pełniły opisane wcześniej funkcje.

Po pierwsze – niezależność wobec władzy. To warunek dość oczywisty, który nie oznacza oczywiście braku poglądów. Całkowitą utopią jest oczekiwanie, że media i dziennikarze nie będą mieć poglądów. W niektórych krajach ich otwarte wyrażanie nawet w formie wspierania określonej partii lub kandydata w wyborach nie jest niczym

nadzwyczajnym. Chodzi jednak o to, aby nie istniała pomiędzy mediami a władzą zależność pozwalająca władzy wpływać na to, co media pokazują publiczności.

Po drugie – możliwość rzetelnego dochodzenia do prawdy. To warunek bardzo ogólny, ale chodzi tu między innymi o to, żeby działały gwarancje dotyczące dziennikarskiego dostępu do informacji, lecz również, żeby dziennikarze w ramach swoich redakcji mieli techniczne i organizacyjne możliwości poświęcenia czasu i energii na zbieranie informacji oraz ich weryfikację.

Po trzecie – zaufanie odbiorców. Brak zaufania niweczy w zasadzie całkowicie wszystkie trzy funkcje mediów: inspirującą, informacyjną i reprezentacyjną. Odbiorcy muszą mieć zaufanie do swoich trybunów, aby uznać, że warto ich słuchać i że pilnują oni ich interesu.

Niestety, obecnie żaden z tych trzech warunków nie jest spełniony lub też jest spełniany w niezwykle ograniczonym zakresie. Dlaczego?

W przypadku warunku pierwszego znaczenie ma skomplikowana i często mętna struktura polityczno-biznesowa współczesnych zachodnich demokracji, lecz również narastanie tendencji do tworzenia mediów z silną tożsamością ideową, które siłą rzeczy wchodzą w coraz silniejszą relację z konkretnymi podmiotami politycznymi, nie poprzestając na prezentowaniu wyrazistej, ale niepartyjnej palety poglądów.

W świecie, gdzie państwo przyznaje sobie znaczne kompetencje w dziedzinie kształtowania rynku, a ogromna część mediów to jedynie odnogi większych przedsięwzięć biznesowych, obejmujących kompletnie niemedialne dziedziny – uzależnienie od władzy jest oczywiste. Wystarczy sobie wyobrazić sytuację, gdy właściciel koncernu chce rozwinąć inną gałąź swojej działalności w danym kraju, a potrzebuje do tego zgody tamtejszego urzędu antymonopolowego – teoretycznie niezależnego, ale wiadomo, jak działają takie mechanizmy. Byłoby zaskakujące, gdyby nie próbował wpłynąć na media, będące jego własnością, tak aby powstrzymały się z krytyką władzy, przynajmniej w jakimś obszarze.

Istniejące w niektórych biznesach medialnych kodeksy czy spisy zasad, mające oddzielać wydawcę od redakcji, są idealistycznym złudzeniem. Nawet jeżeli formalne i otwarte oddziaływanie nie jest możliwe, nacisk jest wywierany za kulisami. Czasami zaś nie jest nawet potrzebny – redaktor naczelny zgaduje potrzeby wydawcy lub podłapuje bez problemu rzucone w przelocie słowa. Zatem wspomniane kodeksy przynoszą w gruncie rzeczy więcej szkody niż pożytku, bo jeśli wydawca lub właściciel ma wpływać na swoje medium, lepiej byłoby, aby robił to otwarcie. W ten sposób wszyscy – z odbiorcami na czele – mieliby jasność, jaki mechanizm tu działa i że stanowisko medium może wynikać wprost z interesów właściciela.

Można by uznać, że wobec wolności tworzenia mediów nie jest to aż taki problem, bo zawsze znajdzie się inne, które naświetli problem od drugiej strony i skontroluje władzę, nad którą rywale otwarli parasol. Byłoby tak, gdyby nie fakt, że media przechodzą coraz wyraźniej od tożsamości do partyjności (zjawisko to szczególnie wyraźnie widać w

Polsce). W warunkach ostrego politycznego konfliktu przedstawiane przez tę czy inną redakcję fakty są automatycznie przez dużą grupę odbiorców klasyfikowane jako element politycznej, a nawet wprost partyjnej rozgrywki, zatem – dla jednej strony – potwierdzają tylko jak najgorsze zdanie o politykach danej formacji – dla drugiej zaś – są a priori niewiarygodne. W Polsce mieliśmy w ostatnich latach bodaj jeden tylko przypadek, gdy ten schemat został w jakimś stopniu przełamany: była to afera podsłuchowa, ujawniona przez „Wprost”.

Można by powiedzieć: *tu l’as voulu, Georges Dandin*, ponieważ to same media zapracowały sobie na to, aby postrzegano je niemal wyłącznie jako oddziały pomocnicze w toczącym się politycznym konflikcie. Tymczasem możliwe jest istnienie medium z silną ideową tożsamością, ale trzymającego dystans do partyjnego sporu. Problem w tym, że w wielu przypadkach kwestie poparcia wprost dla tej czy innej partii łączą się z opisanymi wyżej mechanizmami polityczno-biznesowymi.

Drugi warunek nie jest spełniony z powodów opisanych już w poprzednich akapitach, ale także dlatego, że większości mediów najwzyczajniej nie stać dzisiaj na zapewnienie swoim dziennikarzom warunków odpowiednich dla dochodzenia do prawdy. W modelowym przypadku dziennikarskiego śledztwa – sprawie afery Watergate – Bob Woodward i Carl Bernstein dostali zielone światło od naczelnego „The Washington Post” Bena Bradlee’ego (oraz właścicieli koncernu) na poświęcenie się przez dłuższy czas tylko jednemu tematowi, i to mimo początkowej niepewności co do jego faktycznej wagi. Choć najistotniejsze informacje przekazywało im „głębokie gardło” (czyli Mark Felt, wicedyrektor FBI), to jednak w celu ich weryfikacji musieli wykonać ogrom pracy. Nie uczyniliby tego, gdyby nie początkowy kredyt zaufania szefa. Jeszcze w latach 90. redakcje zatrudniały

riserczerów, a reporterzy mogli poświęcać jednemu tematowi po kilkanaście dni. Media miały pieniądze na delegacje, podróże, a dobrzy dziennikarze byli wynagradzani proporcjonalnie do swoich sukcesów.

To już jednak przeszłość. Dzisiejsza rzeczywistość jest radykalnie odmienna: dziennikarze zarabiają w najlepszym razie przeciętnie, a zakres ich obowiązków bardzo się zwiększył. Nie ma już mowy o specjalizacjach, większość musi się zajmować najróżniejszymi tematami, wieloma bez należytego przygotowania, za to w znacznie krótszym niż kiedyś czasie, bo internet wymusza jak najszybsze publikowanie informacji, nierzadko zanim zostaną należycie zweryfikowane. Ogromna część informacji to w tej sytuacji powtórzenia po innych albo kompilacje najprostsze do sporządzenia – stąd choćby teksty złożone wyłącznie z cytatów z Twittera.

Wskutek tego coraz mniej informacji pochodzi wprost ze źródła czy własnej obserwacji, a coraz więcej krąży na zasadzie głuchego telefonu. Dodatkową trudność stanowi to, że w wielu krajach – w tym w Polsce – jawność życia publicznego wciąż pozostawia wiele do życzenia. Dlatego aby zdobyć określone dane dotyczące na przykład wydatków partii politycznych nie wystarczy sięgnąć do sieci, ale trzeba się dużo bardziej postarać. W tym konkretnym przypadku w naszym kraju trzeba przekopywać się przez składane zaledwie raz do roku w Państwowej Komisji Wyborczej sprawozdania.

Wszystko to wpływa na podważenie zaufania do mediów. Tendencja do postrzegania ich jako uczestnika konfliktu, a nie recenzenta władzy – choćby z przychylnej pozycji – sprawia, że wielu odbiorców poszukuje w mediach nie informacji, a jedynie potwierdzenia własnych poglądów.

Pokazuje to powszechne w komentarzach internetowych wylewanie żalów na dziennikarzy, którzy nie są „obiektywni”, przy czym za „obiektywnego” dziennikarza odbiorcy uznają takiego, który pisze lub mówi rzeczy zgodne z ich własnymi zapatrywaniami.

Dołożmy do tego powszechność internetu i mediów społecznościowych. Skutkiem nie jest tylko opisana wyżej presja na szybką publikację, ale również złudne przekonanie odbiorców, że amatorzy mogą zastąpić profesjonalistów, niegdyś objawiające się w głośnym konflikcie pomiędzy blogerami a dziennikarzami. Dziś nawet ta linia sporu jest nieaktualna, bo blogi zastąpiły nowsze formy komunikacji: Twitter, Facebook, Instagram, Snapchat czy Periscope.

Faktycznie, amatorzy mają często to, czego brakuje dziennikarzom – czas na zajmowanie się poszczególnymi tematami, analizowanie materiałów, sporządzanie drobiazgowych porównań – ale brak im tego, co mają z kolei dziennikarze: możliwości dotarcia do najważniejszych osób i skonfrontowania ich z własnymi ustaleniami, dostępu do dokumentów, okazji do zadania pytań urzędnikom. Jednak z powodów opisanych już wyżej prestiż mediów nieustannie spada, co często objawia się ogólną niechęcią do dziennikarzy i przekonaniem, że nie spełniają oni już żadnej funkcji kontrolnej ani o niczym ważnym nie informują i że te role znacznie lepiej mogą odgrywać amatorzy. Co, jak już wskazałem, nie jest prawdą.

Brak zaufania to również podważenie funkcji reprezentacyjnej mediów – dziennikarze nie są już uznawani za tych, którzy mogą reprezentować „zwykłych ludzi” wobec polityków. Pojawia się przekonanie, że jeśli coś

reprezentują, to albo interesy właściciela koncernu medialnego, albo własne.

Nie należy tych spostrzeżeń odczytywać jako tak typowego dla obserwatorów świata medialnego narzekania, że wszystko schodzi na psy. Bezproduktywne malkontentstwo jest irytujące. Media są częścią współczesnego świata i dotyczące ich zmiany są wpisane w przemiany naszej rzeczywistości. Można się starać je spowolnić, może nawet odwrócić, ale trudno się na nie obrażać. One po prostu są faktem i trzeba z tym żyć.

Czy wszystko to oznacza, że kontrolna i inspirująca rola mediów jest już nieaktualna? Nie do końca.

Po pierwsze – dlatego, że nie mamy nic lepszego. Media są kulawe, gonią w piętę, są zaplątane w zależności polityczne i biznesowe oraz brak im pieniędzy, jednak od czasu do czasu wciąż potrafią działać rzetelnie (podkreślam: nie „obiektywnie”, bo obiektywizmu w mediach nie ma i być nie musi, ale rzetelność powinna obowiązywać), dostarczając opinii publicznej ważnych przesłanek do podejmowania decyzji. Owszem, to argument na zasadzie „na bezrybiu i rak ryba”, ale w świecie realnym nierzadko musimy się godzić na rozwiązanie relatywnie najmniej złe, a nie bezwzględnie najlepsze.

Po drugie – dobre rezultaty daje czasami kooperacja mających czas amatorów z niemającymi czasu, ale mającymi swoje doświadczenia i kontakty profesjonalistami. Amatorzy stali się w jakimś stopniu riserskim zapleczem dla mediów i ta współpraca mogłaby dawać jeszcze lepsze

efekty, gdyby obie strony bardziej się szanowały i świadomie zaakceptowały taki układ, oddając sobie nawzajem uczciwie swoje zasługi w konkretnych sprawach.

Po trzecie – nie wadą obecnej sytuacji, ale zaletą jest powszechność mediów bulwarowych. Tam, gdzie nadęci medioznawcy dostrzegają wyłącznie dramat, powtarzając do znudzenia frazesy o tabloidyacji mediów, warto zauważyć nowe możliwości i tendencje. To masowe media, nie mądre gazety opinii, dostarczają wiedzy najszerszej grupie obywateli i to one umieją to czynić w formie możliwej do przyswojenia przez przeciętnego odbiorcę. To one wielokrotnie – prawda, że w bezkompromisowym, nierzadko nawet obcesowym stylu – wywlekały na publiczny widok hipokryzję władzy, jej grzechy i brudy.

Gdybym spośród opisanych wyżej zagrożeń dla kontrolnej i inspirującej roli mediów miał wskazać najistotniejsze, szczególnie na naszym podwórku, wskazałbym na niebezpieczeństwo plemienności. Traktowanie mediów wyłącznie jako przybudówki do partyjnych gmachów – nawet jeśli faktycznie nią nie są – oznacza w praktyce koniec ich recenzenckiej roli. Nie dlatego, że publikowane w nich informacje staną się z zasady kłamliwe albo że nie będą dotyczyć spraw zasadniczych, lecz dlatego, że sami odbiorcy staną się na nie kompletnie niewrażliwi.